

Antoni Kaja*
Sztolnia

Ciemność umykała jak niepyszna przed snopem światła lampy czołowej. Blask wiódł go, niczym osobista latarnia morska, poprzez zdradliwe trzewia tunelu opuszczonej kopalni. Oprócz niego towarzyszyły mu jedynie niosący się echem pośród skalnych przestrzeni odgłos kroków i kanarek w klatce. Trzymał ją ostrożnie w górze, za pierścień na czubku, ogarnięty troską bardziej o własny los niż żyjące wewnątrz pierzaste stworzenie. Gdyby nie ptak, echo oraz lampka, już dawno byłby zgubiony.

Zalegające wszędzie cienie — nowi rezydenci wydrążonych przez człowieka korytarzy, teraz niezawisli panowie tej podziemnej krainy — garnęły się do niego, okrążały, starając się go za wszelką cenę stłamsić, odebrać dech w piersi, zawieść na skraj paniki. Jemu jednak lęk był zupełnie obcy, dlatego został wybrany do tej misji.

Niestraszne mu były naturalne pułapki: niestabilny gruz po tąpnięciach, blokady z głazów, szczeliny w podłożu. Ostrzegano go, że później może natrafić na trujący gaz, ulatniający się z wnętrza ziemi. Wyczulone zmysły, odbierające teraz świat niemalże na zasadzie echolokacji, czerpały niezmierzone ilości danych z odbijających się od ścian dźwięków, wykrywając przeszkody. Strumieniowi skoncentrowanej jasności nie umknęłyby najmniejsza wyrwa, czyhająca tylko, szukająca okazji, aby schwytać go, sprawić, żeby skręcił sobie kostkę lub utknął w miejscu. W tej sytuacji byłby skazany na ponure rozmyślanie o widmie śmierci z głodu bądź pragnienia — zapasy bowiem, które łaskawie mu przydzielono, miały starczyć na zaledwie parę dni.

* A n t o n i K a j a — ur. 1993; student translatoryki na Uniwersytecie Gdańskim; bibliofil, serialomaniak, kinoman, kociarz i posiadacz starej maszyny do pisania. Każdą wolną chwilę spędza w krainach wyobraźni (swojej i cudzej); dotychczasowo pisywał i tłumaczył opowiadania głównie dla portalu „Szortal”; dodatkowo działa w ramach projektu Prze!Tłumacze i Polski Noir.

I wreszcie owe żółte stworzonko, skulone na dnie swego więzienia, zmuszone do tej podróży w równej mierze co on, z tym że, w przeciwieństwie do niego, zupełnie niewinne. Przeznaczone aby umrzeć od toksycznych oparów po to, żeby on przetrwał, aby ostrzec go przed zgubą. Każdy ma do odegrania określoną rolę. Jego nie była wcale o wiele lepsza. Świat rzadko kiedy bywał sprawiedliwy, już on coś o tym wiedział.

Zapewnili go, że zatrucie gazem nie grozi mu przez długi czas, wyziewy zdarzały się dopiero w podbitej strefie. Technicy koncernu przeprowadzili zresztą cały szereg badań przygotowawczych: poczyniono skany terenu pod kątem możliwości przebycia szlaku, posłano w otchłań nanokamerę noktowizyjną, która pobrała niezbędne pomiary, ale nie znalazła śladu życia. i teraz potrzebowali tylko człowieka zdolnego potwierdzić diagnozę — domniemanie, iż wróg opuścił już kopalnię, by można było znów przeznaczyć ją do użytku.

Z drugiej strony, chodziło przecież o wiele więcej niż tylko o to, żeby zdążyć przed konkurencją, mieć monopol. Ludzkości wyczerpywały się surowce, brakowało źródeł energii, została tylko ta ruda, pozostawiona sama sobie na dziesięciolecia. Teraz nie można już było pozwolić sobie na luksus asekuracyjnego unikania przejętej placówki. Konieczne były stanowcze kroki.

Lampa wyodrębniła z mroku zarys skalnej ściany wdzierającej się klinem w korytarz, niemalże całkowicie blokując przejście. Dziwne. Nie uprzedzono go o tego rodzaju utrudnieniach. Przeciskając się przez wąski przesmyk, plecami do skały, brodą niemalże dotykając kamienia z przeciwnej strony, zastanawiał się, jak to w ogóle jest możliwe. Przecież górnicy musieli się jakoś tędy przedostać — był zaledwie w połowie drogi do najdalszego krańca systemu. Czyżby zboczył z wyznaczonej ścieżki i skręcił w którąś z odnóg? Niemożliwe, tunel miał jeszcze długo biec prosto, a zresztą ten zakład nie należał do szczególnie rozgałęzionych. Ot, zagadka. Zupełnie jakby coś wypięrzyło tę zaporę, próbując uniemożliwić przedostanie się tą drogą, ale zabrakło czasu na doprowadzenie zamiaru do skutku.

Coraz zdumiewającej — pomyślał.

Kłatkę z kanarkiem przycisnął do piersi, pracując głównie nogami. Wolną dłonią odpychał się od czasu do czasu od kamienia. Był przeraźliwie chłodny, wręcz lodowaty od wilgoci, tak bardzo, że aż czuł jej smak w ustach. Zalegała wszędzie dookoła niego niczym eteryczna mgiełka. Posuwał się dalej, z niezadowoleniem zauważając, że buty zaczynają

mu się ślizgać na podłożu. Obudowa miotacza, przytroczonego z tyłu, szurała nieprzyjemnie o litą skałę. Miał cichą nadzieję, że nie będzie się nim musiał posłużyć, jednak instynkt podpowiadał inaczej.

W kwadrans później wydostał się na otwartą przestrzeń. Powitał go dziwnie kojący widok szyn, otoczonych z obu stron belami podpór. Nieprzyjemna przeprawa sprawiła, że poczuł się swojsko znalazłszy się w znajomym otoczeniu. Postanowił, że należy mu się chwila odpoczynku. Postawił domek swojego latającego kompana na ziemi, po czym przycupnął obok, na zimnych kamieniach.

Zdjął z pleców miotacz i położył na kolanach, w zamyśleniu gładząc obłą lufę. Nie był przyzwyczajony do używania tego rodzaju broni, ale uprzedzono go, że mieszkańcy podziemnych czeluści prędeziej będą się bać ognia niż kul. Wtedy brzmiało to całkiem logicznie, teraz nie był wcale taki pewien, czy to aby dobry pomysł.

Wciąż pamiętał pierwszy trening po zakończonej terapii. Zaprowadzili go na poligon, dali do ręki karabin, a następnie kazali strzelać bez wahania. Celami byli prawdziwi ludzie — skazańcy, jak się domyślił — koncern cieszył się znacznym uprzywilejowaniem ze strony rządu. Automatyczny system namierzania dokonywał natychmiastowej lokalizacji newralgicznych punktów, a on pewną ręką pociągał za spust. Nie odczuwał żadnych emocji, kiedy pociski wryły się w czaszki eksplodujące fontanną krwi oraz tkanek. Jego opiekunów taki rezultat wyraźnie ucieszył. Wtedy to zaczął zadawać sobie istotne pytanie: czy wciąż był człowiekiem?

Czy o człowieczeństwie decydowały wyłącznie uczucia, których częściowo go pozbawiono, aby uczynić doskonałą maszyną do zabijania? Tylko jakie to teraz miało znaczenie, skoro nie miał wyboru? Klamka zapadła, kiedy wrócił do domu na przepustce i zastał tam zamiast żony oraz syna facetów w garniturach. „Twoją rodzinę przeniesiono do bezpieczniejszej lokacji — oznajmili mu sucho, rzeczowo. — Chcieliśmy sobie w ten sposób zapewnić twoje bezwarunkowe posłuszeństwo. Ale powinieneś się cieszyć — dodali. — Ojczyzna cię potrzebuje. Zostałeś wybrany spośród tysięcy kandydatów do misji, która zadecyduje o losach nie tylko naszego narodu, ale być może całej ludzkości”. Wiedział, że trzy czwarte tego bełkotu to była czysta propaganda. Mimo to poszedł z nimi.

Z tej krótkiej podróży w przeszłość wyrwał go niezwykle odgłos. Zdezorientowany rozejrzał się dookoła. Skąd mogły dochodzić owe melodyjne dźwięki? Jego wzrok spoczął na klatce i jej mieszkańcu. Zaskoczony nie mógł oderwać oczu od maleńkiej ptasiej główki,

z której rozwartego dzioba dobywała się pieśń. Kanarek śpiewał. W jego wnętrzu coś delikatnie drgnęło.

Pod koniec dnia — o ile nie utracił już zupełnie poczucia czasu — napotkał przepaść, zagradzającą mu drogę do kolejnego odcinka korytarza. Dystans nie był szczególnie duży, powinien ją przeskoczyć bez zbytnich problemów. Alternatywa prezentowała się nieprzyjemnie, promień lampki sugerował, iż otchłań jest niepokojąco głęboka. Jego uwaga była jednak skupiona na czymś zupełnie innym: krawędzie wyrwy były zbyt gładkie jak na zawał, a podkłady nie wyglądały na zerwane. Można by odnieść wrażenie, jakby oba brzegi jakimś cudem od siebie odsunięto. Czyżby mroki kopalni wreszcie zaczynały dawać mu się we znaki?

Cofając się, aby nabrać rozbiegu, uświadomił sobie, że ten skok będzie trudniejszy niż mu się zdawało — w razie problemów będzie mógł posłużyć się tylko jedną ręką ze względu na trzymaną w drugiej klatkę. Ograniczało to możliwości uchwycenia się skały.

Rozsądniej było po prostu zostawić kanarka po tej stronie, ale... Chyba nawet nie chodziło do końca o to, że był jedyną metodą ostrzeżenia przed zatruciem gazem. Od kiedy usłyszał trele ptaka, stał mu się on jakoś bardziej bliski. Widok tego niewielkiego, pierzastego ciała na dwóch krótkich nóżkach dodawał otuchy. Część poprzedniego postoju, nim uciął sobie krótką drzemkę, spędził na obserwowaniu stworzenia. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w zwierzątko skaczące po swoim domku, żałując że nie ma go czym nakarmić. Odmówiono mu pożywienia, bo przeznaczone było na śmierć. a ono i tak znalazło w sobie chęć do śpiewania. Niesamowite.

Mocno ściskając pierścień na szczycie klatki, ruszył pędem do przodu, po czym dał potężnego susa ponad ciemną otchłanią. Miał szczęście, wylądował bezpiecznie po drugiej stronie. Poczul lekkie ukłucie satysfakcji. Na nic więcej nie mógł liczyć, nie pamiętał kiedy ostatni raz doznał jakiegoś silniejszego uczucia. Taka była cena, jaką przyszło mu zapłacić za rządowy eksperyment.

Koncern otrzymał do swojej dyspozycji w ramach tego projektu najlepszych specjalistów z kraju i zagranicy. Przed zabiegiem lekarz prowadzący — renomowany neurochirurg — wyjaśnił mu, że mają zamiar obniżyć do minimum aktywność jąder migdałowych, uaktywniając uśpione tendencje psychopatyczne oraz eliminując niepożądane

stany w rodzaju lęku, smutku czy wahania. Niepotrzebny był mu także gniew, miał bowiem zabijać wrogów z chłodnym wyrachowaniem. Domyślał się, że to zapewne zaledwie czubek góry lodowej, ale wolał nie wiedzieć, gdzie będą mu gmerać w głowie. Sama perspektywa tak znacznej ingerencji w jego mózg napawała go przerażeniem — kiedy jeszcze był w stanie je czuć. Na dodatek pojawiły się efekty uboczne. W wyniku doświadczenia została zaburzona równowaga jego organizmu i od tej pory wszystkiego jego odczucia były przytłumione do tego stopnia, że niemalże nieistniejące. Życie straciło dla niego smak.

Dopiero pieśń żółtego kanarka wzbudziła w nim silniejszą reakcję. Mogło to oznaczać stopniowy powrót do normalności. Nie żywił jednak zbyt wielkiej nadziei, nie był to ani czas, ani miejsce na złudzenia. Dekoncentracja mogło go kosztować życie.

Nie zmieniało to faktu, że odczuł potrzebę upewnienia się, że z ptakiem wszystko w porządku, zanim wyruszył w dalszą drogę. Połączyła go z tym niepozornym stworzeniem specyficzna więź wspólnych przeżyć.

Jego postrzeganie cyklu dnia i nocy już dawno uległo zaburzeniu. Ciężko było odróżnić jedno od drugiego. Dlatego też nie przywiązywał do tej kwestii zbyt dużej wagi. Gdy ocknął się z płytkiego snu postanowił spożyć swoje racje żywnościowe. Łykając płynną mieszankę protein przyglądał się nieruchomemu kształtowi, spoczywającemu na dnie klatki. Kiedy minęła dłuższa chwila, a on wciąż nie dawał znaku życia, poczuł wyraźny ucisk w żołądku. Czyżby powracał jego stary przyjaciel, strach? Czyżby zwierzak zdechł, nawdychawszy się trującego gazu? w końcu znajdował się już dość blisko miejsca przeznaczenia. z drugiej strony, czuł się raczej normalnie, choć mógł to być stan jedynie pozorny.

Potrząsnął delikatnie schronieniem kanarka, chcąc się upewnić w sytuacji. Ufff — westchnął z ulgą na widok wpatrzonych w siebie paciorkowatych oczek. Ptaszek rozłożył skrzydła, podskoczył w miejscu, po czym pisnął nagłaco. Mógł tylko wzruszyć ramionami, dając mu do zrozumienia, że nic dla niego nie ma.

Pora ruszać — doszedł do wniosku, podnosząc się z miejsca, zawieszając ponownie na plecach miotacz, a potem podnosząc także i klatkę.

— Coś mi mówi — rzekł do jej rezydenta, przybliżając kraty do oczu. — że nie-
długo mi już potowarzyszysz — Zero reakcji. Za to w jego głosie pobrzmiwało chyba coś
w rodzaju smutku, choć ciężko to było stwierdzić po tak długim czasie. Ale dlaczego nie
miałoby mu być żal towarzysza niedoli, którego z marszu skazano na śmierć? Zwłaszcza
jeśli nie był pewien, czy z nim nie było aby podobnie.

Szedł dalej korytarzem, ponownie dochodząc do wniosku, że to nieco podejrzane,
iż zarząd nie zlecił wszczęcia mu jakiegoś lokalizatora albo implantu komunikacyj-
nego, żeby mógł się kontaktować z bazą i zdawać relacje z misji. Oficjalne wytłumaczenie
brzmiało: brak zasięgu, znacząco utrudniona praca urządzeń elektronicznych. W takim
razie jak im się udało posłać tamtą nanokamerę? Coś tutaj zdecydowanie było nie tak.

Toczył wewnętrzną walkę z na nowo rozbudzoną nieufnością, snując coraz to
nowe teorie spiskowe, dopóki nie napotkał na swej drodze pionowej ściany skalnej.
Wbrew jego pierwotnym przypuszczeniom nie był to jednak koniec tunelu — wyżej
otwierała się w litej powierzchni grot, na której brzegu wyraźnie rysowały się znajome
szyny. Odkrycie to wprawiło go w konsternację. Jak przejście mogło się znaleźć tak wy-
soko? Zresztą nawet gdyby doszło do zawalenia części korytarza, podjazd i tak byłby za
stromy dla wagoników transportowych. Tyle że jedynym innym wyjaśnieniem byłby
znów udział tajemniczych sił, które podniosły cały zakład, nie powodując przy tym żad-
nych zauważalnych szkód, a to zakrawało na absurd.

Ocenił poziom trudności wspinaczki. Nie było wcale tak źle: gdzieś tam dostrze-
gał wygodne punkty oparcia dla rąk i nóg. Podobnie jak poprzednie przeszkody, także ta
była nieznaczna, zupełnie jakby jej twórca chciał jedynie zniechęcić intruza, zasugerować
mu, iż gra jest niewarta świeczki. Wcześniej na to nie wpadł, ale mogło to być uczciwe
ostrzeżenie. Przestroga dla śmiałków.

Niewiele wiedział o istotach, które przed kilkudziesięciu laty przejęły kopalnię. Ci,
którzy mieli z nimi styczność, postradali zmysły — mało podnosząca na duchu wiedza.
Nikt nie miał pojęcia jak wyglądają albo co czyni je tak groźnymi. Po prawdzie, mogły być
zdolne do wszystkiego, także czynów, które z samej swej natury przeczyły wszelkiej lo-
gice. Wzdrygnął się na samą myśl, uświadamiając sobie przy tym, że istnieje szansa, iż
niebawem spotka się z nimi twarzą w twarz. Nagle bardziej docenił fakt posiadania mio-
tacza.

Chwycił pierścień klatki w zęby, ze zdumieniem odkrywając, jak bardzo jest lekka, po czym wsunął stopę w pierwszą ze szczelin. Zaczep dla lewej dłoni znajdował się wyżej, niż ocenił na pierwszy rzut oka, był zatem zmuszony odepchnąć się prawą nogą od kamienia, wyrzucając całe ciało do góry. Potem było już nieco łatwiej, choć niekiedy konieczne było przyjmowanie bardzo niewygodnej pozycji albo opieranie obu kończyn na jednym występie. Nie trwało to jednak szczególnie długo, a wejście przypłacił zaledwie powierzchownymi otarciami oraz paroma skaleczeniami palców.

Odruchowo otrzepał ubranie i przysiadł na moment, żeby odsapnąć. Kiedy skończył wiązać buty, był już zupełnie gotów do drogi. Podniósł się z ziemi, a następnie — ścisnąc pierścień klatki niczym swoisty talizman — wkroczył w gęstniejące ciemności korytarza, które ciężko było rozproszyć nawet promieniowi jego lampy czołowej.

Tunel stawał się coraz węższy, a strop zniżył się zauważalnie. Ten odcinek został ukończony na krótko przed zdarzeniem, nie zdążono go więc poszerzyć. Dopiero tutaj w pełni dostrzec można było bogactwo żyły. Ściany były aż purpurowe od rudy, połyskując drobinkami uwiecznionego w niej kwarcu. Od czasu do czasu napotykał odłupane kawały oraz inne ślady górniczej aktywności, częstsze też stawały się odnogi prowadzące w nieznaną stronę.

Owe zakręty zaczęły prędko budzić w nim pewien niepokój, głównie dlatego, że zdawało mu się, iż obserwują go stamtąd liczne pary nieprzyjaznych oczu. Jednak kiedy tylko zaglądał w czerń, blask jego prywatnej latarni ujawniał panującą tam zupełną pustkę. Powietrze było jednak podejrzanie gęste i przysięgłoby, że unosiło się tam widmo dziwnego zapachu, właściwie ciężkiego do opisu. Ta atmosfera pogłębiająca się paranoi, wszechobecnego, zdawałoby się, zagrożenia powodowała stopniowe kruszenie skrupulatnie wzniesionych przez ekspertów emocjonalnych tam. Nie bał się, do tego było mu daleko, ale nie był też całkowicie spokojny. W organizmie zaczęła krążyć adrenalina.

Kawałek dalej urywały się podkłady, dookoła których porzucane były kawałki szyn, rozmaite narzędzia, a z boku leżał nawet przewrócony przerdzewiały wagonik. Znak, iż był już niemalże na miejscu. Przeszedł go dziwnie miły dreszcz antycypacji. Niebawem wszystko nareszcie stanie się jasne, nie będzie już miejsca na zwątpienie.

Zbliżał się do groty, za którą rozpoczynały się niezbadane obszary kopalni. To właśnie tam doszło do ataku. Już wcześniej mijał jaskinie, jednak ta była zdecydowanie najbardziej imponująca. z odległego sufitu zwieszały się masywne stalaktyty, w pobliżu szu-

miało podziemne źródło, wlewając się do krystalicznie czystego jeziorka. Ściany natomiast mieniły się barwami minerałów. Okolica była naprawdę urokliwa i spokojna. Nie był sobie w stanie wyobrazić, jakież to straszliwe rzeczy mogły mieć wtedy miejsce w tym oto sielskim zakątku.

Wspiął się półkę ponad zbiornikiem wodnym, chcąc uzyskać lepszy widok na cały obszar. Nie dostrzegł jednak niczego podejrzanego, poza wylotami kilku niezbadanych dotąd pieczar nad swoją głową, wdzierających się chłodem nieznaną nieokreślonością do ostoi naturalnego piękna. Czy to właśnie stamtąd nadeszli? Wylali się przeraźliwą falą, nieopisane koszmary z trzewi ziemi?

Dobiegł go dochodzący jakby z oddali szmer, który z czasem wyklarował się w kofonię mnogich cielsk, z szuraniem przedzierających się poprzez skalne przejście. Zdał sobie sprawę, że właśnie poznał odpowiedź na swoje pytanie, a naukowcy koncernu karygodnie się mylili. Zdjął z pleców miotacz i wycelował go w ciemny otwór, który niczym przerażające oko gapił się na niego z góry. Czuł, jak napinają mu się mięśnie, ciało zastyga w gotowości bojowej. Chłodna kalkulacja wyparła wszystko inne. Ile ich mogło być? Czy wystarczy mu paliwa? Jak szybkie mogły być te istoty? Te oraz inne zmienne musiały zostać wzięte pod uwagę, jeśli chciał przeżyć. i to szybko, gdyż hurgot przybliżał się z każdą sekundą.

Scena, której stał się potem świadkiem dosłownie nie mieściła się w głowie. Przemknęło mu jedynie przez myśl, że rozumie dlaczego ludzie mogli stracić zmysły po tego rodzaju spotkaniu. Zamarły w bezruchu gapił się na wysypujące się z szybu potwory rodem z najstraszliwszych koszmarów. Wygląd tych diabelstw przeczył prawom natury — posiadały nieforemne, oślizgłe, odrażające cielska o konsystencji melasy, przelewające się na podobieństwo groteskowych wałków tłuszczu. Poruszały się na przynajmniej ośmiu muskularnych łapach z na oko nie mniej niż dwoma dodatkowymi stawami, uzbrojonych w sztyletowate pazury połyskujące niczym obsydian. Grzbiety kreatur porastały przypominające ukwiał narośle barwy zgniłej żółci, pośród których dało się gdzieś dostrzec cienkie łodygi szypułek. i to nawet nie okrutne, dzikie, wyłupiaste oczy, kolebiące się na ich czubkach jak jakieś piekielne ulegalki, przeraziły go najbardziej. Gorsze były od nich szeregi owalnych gąb, najeżonych kolczastymi wyrostkami podobnymi do zębów rozdrabniarki, ułożonymi w obracające się rytmicznie ze zgrzytem pierścienie. To właśnie te nadciągające paszcze mordy hipnotyzowały ofiarę, odbierając jej wolę ucieczki.

Jego pierwsza przytomna myśl brzmiała: To musi być halucynacja! Efekt działania trujących oparów! Ale gdy posłał spojrzenie w kierunku stojącej w pobliżu klatki, potwierdziły się jego najgorsze przypuszczenia. Ptakowi nic nie było. To wszystko działo się naprawdę.

Momentalnie tama pękła, a emocje wylały się w istnej powodzi skonfliktowanych odczuć. z jego ust wyrwał się nieartykułowany krzyk przerażenia, furii oraz rozpaczony razem. Uświadomił sobie, że czeka go najstraszliwsza walka w całym życiu. Wycelował prędko lufę miotacza w najbliższe monstrum, nacisnął spust, a wtedy broń plunęła jeżorem ognia. Zatoczył nią krąg, rozsiewając niszczycielski żywioł pośród potwornych zastępów. Żarłoczny płomień natychmiast ogarnął stworzenia, które wydały z siebie jedynie przeraźliwy nieziemski pisk, wibrujący, kaleczący słuch. Rozległ się mdły bulgot gotującej się mazi ich ciał. Poczuł, że z uszu cieknie mu krew, jednak nie miało to już znaczenia. Zdał sobie właśnie sprawę, że to początkowe zwycięstwo było tak naprawdę pyrrusowe — zaczął stawiać opór zbyt późno. Czeluść wciąż wypluwała coraz to kolejne rzesze poczwary z koszmaru, zalewające go niczym bluźniercza powódź, otaczające go zwartym kordonem ohydy. Przeklinając bezgłośnie koncern, rząd, Boga oraz wszystko inne, co tylko przyszło mu do głowy, toczył dalej zacięty bój z boleśnie wyraźną świadomością nadchodzącej śmierci.

Wszystkiemu przyglądał się uważnie kanarek, wodząc paciorkami oczu to w lewo, to w prawo, starając się jak najlepiej objąć wzrokiem cały obraz rzezi.

Surowy oficjel w wojskowym mundurze obwieszonym odznaczeniami niczym bożonarodzeniowa choinka przemierzał szybkim krokiem główny korytarz tajnej placówki rządowej. Towarzyszył mu brodaty jegomość w laboratoryjnym kitlu, ściskający pod pachą niewielki tablet.

— Mam wielką nadzieję, doktorze, że pańskie grzebanie w mózgu na coś się zdało — zwrócił się do niego żołnierz.

— Zapewniam generale, że rezultat mojego eksperymentu w pełni pana zadowoli — przekonywał naukowiec, nawet nie próbujący ukryć wyraźnych oznak zdenerwowania.

— Lepiej żeby tak było, dla pańskiego dobra — uciął tamten i pchnął drzwi znajdujące się na końcu korytarza. Prowadziły one do rozległej sali konferencyjnej, gdzie oczekiwali na ich przebycie członkowie sztabu kryzysowego, wyjątkowo w pełnym składzie, co podkreślało powagę sytuacji.

Generał nie zaszczycił zgromadzonych choćby spojrzeniem. Od razu podszedł do ogromnego holoeckranu z przodu pomieszczenia. Stamtąd miał dobry widok na wszystkich ludzi siedzących dookoła stołu.

— Pozwólcie państwo, że zacznę od ważnego ogłoszenia — odezwał się w końcu, lustrując wszystkich stalowym wzrokiem. — Dosłownie przed chwilą prezydent wraz z rządem tymczasowo zrzekli się władzy, przekazując ją w ręce armii. Na nas spoczywa teraz pełna odpowiedzialność za uniknięcie katastrofy na skalę globalną. W związku z tym przejmuję pełne dowodzenie. Od tej chwili wszyscy będziecie wykonywali moje polecenia — podniósł prawą dłoń, ucinając wszelkie protesty. — Nie mamy czasu na czcze deliberacje. Pora zająć się bardziej nagłymi sprawami. Przede wszystkim klęską projektu „Kanarek”. Oddaję głos ekspertowi, który wprowadzi nas w szczegóły.

Brodacz włączył tablet, a w tym samym momencie ożył także interaktywny holoeckran, wypełniając się gąszczem pomniejszych wykresów oraz ikonek.

— Mniej więcej kwadrans temu neurotransmiter, który wszczepiłem obiektowi w trakcie operacji, gwałtownie zakończył nadawanie — zaczął. — Biorąc pod uwagę rozkodowany przekaz z kory wzrokowej — dwoma palcami powiększył przekrojowy schemat budowy wspomnianego organu. Kolorem niebieskim zaznaczono na nim odpowiedni obszar, odpowiedzialny za odczytywanie bodźców wzrokowych. — możemy spokojnie uznać go za zmarłego. Szczególnie ciekawy w kontekście dawnych relacji o kryjącym się w kopalni „zagrożeniu nieznannej natury” jest sam koniec przekazu. Moje komputery przekonwertowały informacje zapisane w mózgu obiektu na ciąg obrazów, które następnie zmontowałem, tak aby utworzyły film — bardzo zadowolony z siebie otworzył plik wideo, wciskając równocześnie przycisk przewijania. Na ekranie migały coraz to kolejne fragmenty podróży samotnego mężczyzny. — Potwierdziły się zastanawiające odczyty skanera, sugerujące znaczne deformacje podziemnych korytarzy. Byliśmy również w stanie ustalić, iż żyła rudy jest w samej rzeczy niezwykle bogata.

— Na tyle, aby zakończyć kryzys? — wtrącił się generał.

— Wszystko na to wskazuje. Jednakże jej wydobycie jest tak niebezpieczne, że graniczy z niemożliwością. a oto przyczyna — badacz zastopował nagranie, które ukazywało teraz nieco rozmazane stworzenie o niepojętym wyglądzie. Cały sztab westchnął ze zgrozy. — Dla ułatwienia wyizolowałem poszczególne elementy fizjonomii tej istoty, tworząc jej poglądowy wizerunek — Po lewej stronie pliku pojawiło się graficzne przedstawienie poczwary.

— Czy mamy do czynienia z kolejnym pomiotem Wielkich Przedwiecznych? — upewnił się jeden z członków zgromadzenia. — Nie chcielibyśmy kolejnego incydentu z Innsmouth.

Pozostali pokiwali głowami. Wszyscy znali niepokojące fakty, wszyscy czytali Arkham Files, skrzętnie skrywaną dokumentację zadziwiających zdarzeń z historii kraju, które z raczej marnym skutkiem starał się swego czasu ujawnić pewien pisarzyna.

— Nie wykluczamy takiej możliwości — pospieszył z odpowiedzią nowy dowódca — Ale póki co nie mamy szczególnego powodu do obaw. Gdyby chodziło o inwazję, te istoty już dawno by się na nią zdecydowały. Utworzone na szlaku zakładu przeszkody zdają się wyraźnie sugerować, że pragną jedynie zachować zajętą lokację dla siebie. Niestety nie mamy tego luksusu i nie możemy brać pod uwagę ich zaopatrywań na sprawę. Nie zapominajmy przy tym, iż zaatakowały obywatela tego kraju. To podstawa do wypowiedzenia wojny.

Rozległy się zaniepokojone szmery. Po chwili odezwała się przewodnicząca Tajnych Służb:

— Zanim podejmiemy pochopną decyzję, czy istnieje możliwość weryfikacji tych danych? o ile pamiętam projekt zakładał ciągłą inwigilację działań obiektu?

— Zgadza się. Towarzyszyła mu biomechaniczna kamera. Dla bezpieczeństwa postanowiliśmy nadać jej ptasi kształt. Kanarka, ściśle rzecz biorąc. Zaprogramowaliśmy ją też, aby imitowała zwierzęce zachowania.

Agentka uśmiechnęła się lekko. Trudno było nie docenić ironii.

— Czy potwierdziła ona wstępne ustalenia?

Naukowiec przełknął ślinę.

— Obawiam się, że nie zdążyłem jeszcze przejrzeć nagrania do końca. Postanowiłem od razu je państwu przedstawić — czując na sobie palące spojrzenie generała, niezwłocznie uruchomił kolejny plik. — Mechaptak także uległ zniszczeniu — zaznaczył na wstępie. — Tak więc zapis może być niepełny.

Prędko odnalazł właściwy moment filmu — ten, kiedy wysłany pod ziemię mężczyzna wszedł do centralnej groty. Nacisnął pauzę.

— Miejsce, które państwo widzicie — kontynuował, wyświetlając obok skan całego kompleksu tuneli. — oznaczone jest tu jako czerwony prostokąt. Stanowi granicę najdalszego zasięgu działań koncernu. Odchodzi z niego inne odnogi, zupełnie niezbadane przez człowieka. To stamtąd zdają się pochodzić agresorzy.

Ponownie aktywował film. Sztab obserwował uważnie, jak nieświadom swej roli nieszczęśnik bada wnętrze jaskini, by wreszcie przystanąć na półce wznoszącej się ponad taflą wody. Dłuższą chwilę nic szczególnego się nie działo, aż tu nagle...

— Tam! Spójrzcie! — wykrzyknął Minister Spraw Wewnętrznych.

Faktycznie, u podstawy skały, w punkcie, gdzie woda stykała się z pożyłkowanym od rudy kamieniem, zaczął się powoli wydzielać gaz. Kłęby oparu unosiły się ku górze, wijąc się niczym groteskowy wąż. Następnie złączyły się, tworząc chmurę za plecami podziwiającego grote człowieka. Jego zachowanie wyraźnie się zmieniło, zaczął nasłuchiwać, jakby dobiegały go niepokojące odgłosy z szybu nad głową. Skierował miotacz w stronę rozprzestrzeniającego się wyziewu, który wycelował ku niemu rozliczne dymne macki.

— Ten gaz — bąknął któryś z obecnych w sali konferencyjnej. Ciężko było określić kto, bo wszyscy utkwili wzrok w holoekranie — On żyje!

— To niemożliwe — rzucił poblady doktor. — Takie zjawisko nie występuje w przyrodzie. To musi być jakaś... iluzja... — wiedział jednak, że to nieprawda.

Tymczasem widmowe odnóża oddzieliły się znów od cielska, rozpadłego teraz na mnóstwo integralnych części, i skonsolidowały się w przedziwne kształty. Ich zarysy przypominały do złudzenia maskarę, którą zaprezentowano im jakiś czas wcześniej. Owe niematerialne stwory rzuciły się w stronę ofiary. Spowity oparem mężczyzna oddał strzał z miotacza, trafiając jedynie powietrze. Lufa broni plunęła ogniem jeszcze parę razy, a potem upadła ona na ziemię. Obiekt z rozpaczliwym krzykiem rzucił się w ślad za nią.

Wyglądało to tak, jakby rękami odpędzał się od niewidocznego przeciwnika, by w końcu mu ulec.

Badacz zrobił zbliżenie, zdając sobie z tego sprawę jedynie połowicznie. Dało się wtedy dostrzec, iż na ciele tarzającego się biedaka pojawiać się zaczęły znikąd głębokie rany, broczące krwią.

— Autosugestia — wyszeptał z przerażeniem, niebezpiecznie zabarwionym fascynacją. — Ten gaz ma neurologiczne działanie do tej pory nieznanie nauce, niewyobrażalnie destrukcyjne. Silne halucynacje, samookaleczenia... Toż to istne narzędzie zagłady!

Generał pomyślał o tym samym, zastanawiając się, czy dałoby się go użyć do celów militarnych. Ale stwierdził, że na takie rozważania przyjdzie czas później, kiedy nie będzie już im groziła energetyczna zagłada. i kiedy będzie można mieć pewność, iż nie obróci się przeciwko nim.

Gdy masakra dobiegła końca, zapadła całkowita cisza. Przerwała ją nieśmiało przewodnicząca Służb Specjalnych.

— Czy w ten sposób da się wyjaśnić pozostałe sprawy z Arkham Files?

Doktor nie był w stanie tego jednoznacznie stwierdzić. Logiczne wyjaśnienia bez dwóch zdań byłyby kojące. W niektórych przypadkach może i miałyby to sens, ale w innych... Poza tym miał niepokojące przeczucie, że kluczową rolę odgrywa tutaj tak pożądanym przez cały świat nowy surowiec. Co oznaczało prawdopodobnie konieczność ponownej oceny ryzyka związanego z jego wykorzystaniem. Ale nie wszystko się zgadzało: jak wyjaśnić niezwykle blokady korytarza? Przecież opary z czysto fizycznego punktu widzenia nie mogły mieć z tym nic wspólnego. Coś mu mówiło, że wojsko mało się tym wszystkim przejmie i wyśle tam prędko batalion wyposażony w maski gazowe. Ludzkość mógł czekać niebawem o wiele straszliwszy kryzys. a on niewiele mógł w tej sytuacji zdziałać. Poczł się tak potwornie bezsilny.

Tymczasem generał doszedł do słusznego wniosku, że nowe informacje wymagają dłuższego rozważenia, po czym odesłał cały sztab. Mieli się ponownie zebrać kolejnego dnia w południe.

— Idzie pan, doktorze? — rzucił od drzwi.

— Tak, tak — brodacł pospieszył za nim, ściskając mocno w dłoni tablet.

Z wrażenia zapomniał wyłączyć holoełran, na którym wciąż odtwarzany był film nagrany przez kamerę biomechanizmu. Widać na nim było cofające się macki gazowej

chmury, okaleczone ciało, a także, nieco dalej, dojmującą czerń jednej z zagadkowych pieczar. Krótco potem obraz zaczął się zacinać, by wreszcie ustąpić miejsca ziarnu zakłóceń. Pomieszczenie było już puste, toteż nikt nie miał okazji dostrzec, jak na zaledwie sekundę, którą nietrudno by nawet uznać za przywidzenie, powraca wizja i stopniowo z jednej z pieczar wynurza się niezidentyfikowana żywa istota. Stworzenie z nienaturalną szybkością zbliżyło się do obiektywu. Klarowny obraz ponownie zastąpił biały szum.